

Sara Daniel, Benoît Kanabus

JEŚLI TO JEST KOBIETA

Chrześcijanka. Niewolnica Państwa Islamskiego
Sprzedawana, wykorzystywana, torturowana

 **BIEKTYW**

Sara Daniel, Benoît Kanabus

JEŚLI TO JEST KOBIETA

Przekład
Katarzyna Marszałkowska



Tytuł oryginału: *La putain du Califat*

Przekład: Katarzyna Marszałkowska

Współpraca: Katarzyna Kamińska

Projekt okładki: Anna Slotorsz

Redakcja: Barbara Sikora

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo M Kraków 2021

© Editions Grasset & Fasquelle, 2021

All rights reserved

ISBN 978-83-8043-816-3



Wydawnictwo M

Al. Słowackiego 1/6, 31-159 Kraków

tel. 12-431-25-50; fax 12-431-25-75

e-mail: biuro@wydawnictwom.pl

www.wydawnictwom.pl

Dział handlowy:

tel. 12-431-25-78; fax 12-431-25-75

e-mail: handel@wydawnictwom.pl

Księgarnia wysyłkowa:

tel. 12-259-00-03; 721-521-521

e-mail: bok@klubpdp.pl

www.klubpdp.pl

Konwersja
Epubeum

Spis treści

Córka kościelnego

Bagdad moja miłość

Top Gun

Morderstwa w Niniwie

Klątwa kalifa

Noc 6 sierpnia

Stary imam

Cudowna gazela

Walka klasowa

Święta Marie z Khidiru

Jeśli to kobieta

Mit o Jonaszu

Perła Eufratu

Naprawiony Bóg

Spotkanie we Francji

Sprawiedliwy

Zielony mąż

A pośrodku płynie Tygrys

Odniesienia i przypisy

Przypisy

*Dziewczyna na kształt bukietu zrobiona
i pokryta czarną płwociną ciemności ¹.*

PAUL ÉLUARD

Pięćdziesiąt trzy ciała ograbione z ubrań, z nazwisk, ograbione z przeszłości. Pięćdziesiąt trzy nagie ciała na pierwszym piętrze domu gdzieś na północy Mosulu. Zamieszkiwały okolice góry Sindżar, bogate dzielnice Karakosz, pasły owce, zajmowały stanowiska w klimatyzowanych biurach, mężatki lub panny, ale jakie to ma teraz znaczenie... Pozostały po nich jedynie ciała obleczone skórą, mówiące o nich wszystko; zepsute zęby, błyszczące lub matowe włosy, ciała szczupłe i z fałdkami tłuszczu, tu blizna po upadku z roweru, tam znamię, gdzie indziej rozstępy po ciąży... Szczątki światów, które odeszły; smutków i drobnych zwyczajstw, marzeń i wyrzeczeń, zwyczajnej codzienności ludzi, do których należy jedynie życie, które właśnie przemija. W pomieszczeniu nie ma lustra, ale one widzą swoją hańbę w spojrzeniach żołnierzy, którzy wyceniają je już po stawkach rynkowych. I w swoich przerażonych spojrzeniach, w pięćdziesięciu trzech parach oczu, w których odbija się wstyd, jak w bezdusznym kalejdoskopie.

Strażnik, któremu przydzielają Marie, ma twarz o pergaminowej skórze, zwą go Hadj Abou Ahmed al-Sharia; naprawdę nazywa się Jomaa Kurdi. To imam i starszy doktor od spraw islamskich, stąd jego przydomek *al-Sharia*. Po pielgrzymce do Mekki otrzymał

tytuł honorowy *Hadj*. Zbliża się do Marie w asyście dwóch postawnych żołnierzy, w brodzie wypłukanej z henny ma resztki krwi i soli. Chwytając ją gwałtownie za ramiona, informuje: „Należysz do mnie!” Marie walczy, próbuje się wyrwać. „Nie chcę cię! Nie chcę cię! Nie chcę cię!”, wykrzykuje z obrzydzeniem niczym magiczną inkantację, trzy razy, tak jak powtarza się muzułmańskie formuły rozwodowe.

Ale starzec nie znika, wciąż tam jest, w tym ciele pozbawionym jakichkolwiek mięśni, i czeka, aż ona pocałuje go w dłoń. Marie ponownie odmawia. Mężczyzna, nie mogąc ujarzmić tej tak delikatnej kobiety, która z całych sił odpycha go od siebie, wpada we wściekłość.

„Zostaw ją, *Hadj*”, radzą w końcu żołnierze. „Oddamy ją młodszemu, oni nauczą ją posłuszeństwa”.

Stary nie chce jednak się poddać. Rozkazuje dwóm osiłkom uzbrojonym w kałasznikowy, aby ją trzymali, a sam znowu wyciąga do niej rękę, próbuje ją poskromić jak spłoszonego konia. Kiedy Marie schyla się wreszcie nad jego sękatymi dłońmi, przypominającymi korzenie jakiejś rośliny, żołnierze powalają ją kopniakami na ziemię.

„Jesteś *sabaya*², niewolnica, i masz być posłuszna”, przypominają, zanim jeszcze wrzucą ją do bagażnika toyoty kombi należącej do imama.

Przez trzy kilometry, dzielące ją od granicy miasta, od opustoszałego domu, krzyczy. Dwóch żołnierzy otwiera drzwi i wpycha Marie do środka; włączają agregat naftowy, by zapewnić

staremu trochę światła. Potem wychodzą, odchodzą kilka kroków, jakby kpiąc z intymności tortur fizycznych.

Na polecenie imama Marie depiluje całe ciało kremem i szoruje miejsca intymne gąbką do mycia garnków. Zupełnie jakby chorego zbrojeńca przerażała fizyczność kobiety, jej mroczna i brudna, w jego wyobrażeniu, wagina, nieczysta ze swoimi „niestosownymi wydzielinami”, wypełniona „piekielną lawą”, w każdej chwili gotowa pochłonąć jego penis.

Rzuca się na nią, zrywa z niej ubranie, a jego zęby wciąż okazują się wystarczająco ostre, żeby zostawić krwawe ślady na jej szyi i piersiach. Wściekłość spowodowaną zgubieniem w podróży tabletek viagry, i związaną z tym niemoc, rozładowuje, bijąc ją dotkliwie po plecach. W końcu się podnosi i już wie, co chciałby z nią zrobić; z jej ustami, piersiami, pośladkami. Kobieta, która walczy, podnieca go, ale jego penis nie chce nawet drgnąć. To przez kisiel między jej udami, który tak go denerwuje. Biję zatem ciało, z którego nie ma żadnej uciechy, coraz to mocniej, aż łamie drewnianą ramę łóżka.

Stary nie opuszcza więcej domu. Można by rzec, że nie ma nic innego do roboty, tylko bić Marie za westchnienie, za grymas, za nic. Aż w końcu dziewiątego dnia gehenny jeden z żołnierzy szyderców przynosi mu pigułki. Wreszcie może ją zgwałcić.

Tygodnie i miesiące niewoli Marie zlewają się w jedno. Ale dzień 9 września 2014 roku trwale zapisuje się w jej pamięci. „Tego dnia

życie opuściło moje ciało”, powiedziała mi. „Czy można zapomnieć dzień swojej śmierci?”

*

Po raz pierwszy usłyszałem o Marie, gdy czekałem na zakończenie bitwy o Mosul, dzieląc z żołnierzami trudy i nudę na tyłach linii frontu. Była niewolnicą dwunastu mężczyzn, wykorzystywana przez dziesiątki innych, sprzedawana i odsprzedawana od Karakosz w Iraku aż po Ar-Rakkę w Syrii; jej droga rysuje kształt Państwa Islamskiego i odzwierciedla jego teologię, która głosi, że wszystkie grzechy mężczyzn wcielone zostają w kobiece ciało.

Za wszelką cenę musiałem ją spotkać. Tymczasem Marie chciała zniknąć z zasięgu wzroku tych, którzy torturowali ją przez ostatnie dwa lata; zniknąć z zasięgu wzroku tych, którzy znali ją wcześniej; zniknąć z zasięgu wzroku takich ciekawskich jak ja, zamierzających opisać jej historię. Ruszyłem więc jej śladem, usiłując ją zatrzymać, gdy po uwolnieniu próbowała, instynktownie jak ranne zwierzę, uciekać i się ukrywać. Kiedy w końcu dowiedziałem się, w której części Iraku znalazła kryjówkę, w zamian za możliwość poznania jej obiecałem pomoc. „Opowiem jej historię i pomogę zdobyć wizę wyjazdową”, powiedziałem do Yohanny. Chociażby do Francji lub do Belgii. Ale nie chciała. Nie teraz. „Najpierw musi zeznawać przed komisją ONZ”, odpowiedział mi Yohanna. „To zamknie temat i zagwarantuje jej wizę. Tak będzie nawet lepiej, bo dostanie wizę do Stanów Zjednoczonych”.

Historia Marie rzeczywiście wstrząsnęła członkami komisji. Ale nie wydali jej wizy. Tłumaczyli się, zwlekali, ociągali się, zasłaniając się zwyczajnym brakiem możliwości oraz wydanym właśnie przez prezydenta Donalda Trumpa zakazem wstępu na terytorium USA tym wszystkim „irakijskim sukinsynom”, których bombardował przez piętnaście lat.

Kilka tygodni później otrzymałem trzy fotografie. Na pierwszej Marie jest sama, ma na sobie czarny nikab i czarną abaję. Jakość fotografii jest tak słaba, że z trudem rozpoznaję jej oczy za „namiotem” oddzielającym ją od reszty świata.

Na drugim zdjęciu pozuje obok Yohanny. Nikab częściowo zasłania jej twarz. Na trzecim ma odkrytą głowę i ubrana jest w niebieską bluzkę ze złotym krzyżem. Przyglądając się jej twarzy, zauważam wyraźnie, że chciała żyć: była umalowana.

*

Spotkałem Marie w Jordanii, w Ammanie. Znalazła schronienie w mieście, które stanowiło zarazem azyl dla ofiar, jak i przedsiónek dla dżihadystów zmierzających do Iraku lub do Syrii. To był kwiecień 2017 roku, pół roku po jej uwolnieniu, i początek naszych rozmów. Znałem już całą jej historię, którą w Iraku opowiedział mi Yohanna. Pokazał mi też każde miejsce w Mosulu, gdzie Marie była przetrzymywana. Nie pominął żadnego szczegółu, z wyjątkiem tego, co skromność mężczyzny uznała za intymność kobiety. Poznałem również jej siostrę, brata, dalszego krewnego,

chrześcijan, którzy wstydzieli się za nią, oraz muzułmanów z jej wioski, którzy wstydzieli się za nich. Wszyscy oni mieli nadzieję, że jej nie odnajdę; gdy zrozumieli, że zamierzam opisać jej historię, okłamali mnie.

Tamtego dnia stała na ganku przed domem; drobna, szczupła kobieta, ubrana w džinsy i haftowaną bluzkę ozdobioną metalowymi koralikami, jaskrawo czerwoną pod kolor szminki. Nie mogłem oderwać wzroku od jej twarzy i ciała. Złamana nasada nosa przekrzywiona była w prawo, oczodół otaczały jasnym okręgiem wybroczyny, zmasakrowane usta zwisały na podbródek, korpus niepewnie trzymał się na złamanej stopie.

„Byłam *sabaya* od 7 sierpnia 2014 do 16 października 2016 roku”, zaczęła.

*

Irakijscy chrześcijanie nakłonili mnie do opowiedzenia ich historii; żyłem wśród nich przez wiele miesięcy. Wcześniej, wróciwszy z podróży po tych pustyniach spalonych nienawiścią, pisywałem tylko opowiadki pachnące pudrem i ciężkimi zasłonami, przesiąkniętymi potem bohaterów, w których ukrywałem się za fasadą pozorów, kilku nieszczerych wyznań i wspomnień, które nie miały szokować czytelnika. Znajomym nie mówiłem prawie nic. Czy mógłbym im opowiedzieć w zaciszu salonu lub pośród zgiełku baru, jak śmierdziały trupy moich tamtejszych przyjaciół? Zresztą, nie chcieli o tym słuchać. „Dobrze się skończyło? Bałeś się? Chcesz jeszcze mojito?”

Któż przeczyta historię Marie? I jak ją napisać? Jak tchnąć życie w tę opowieść, skoro mam jedynie nagi szkielet? Co powiedzieć, co przemilczeć, gdzie puścić wodze wyobraźni, gdzie się zatrzymać? Czy odłożyć pióro, jak odwraca się oko kamery, gdy widok staje się zbyt przerażający? Czy może opisać wszystko, zwłaszcza to, czego nie umie się opowiedzieć? „To nie tak, że nie da się tego opisać. To było nie do zniesienia, a to zupełnie inna sprawa”, tłumaczy w jednej ze swoich książek Jorge Semprún³. „Tylko zabieg kontrolowanej narracji pozwala częściowo dać świadectwo prawdzie. Tylko ci, którzy wiedzą, jak uczynić ze swojego świadectwa przestrzeń twórczą, dotrą do tej substancji, osiągną tę transparentną gęstość”. Pięćdziesiąt lat zajęło mu opisanie tego, co przeżył w obozie w Buchenwaldzie. Chciałbym, żeby był jeszcze z nami. Poznałem go u Florence Malraux, byli niezwykle parą: ona radosna, podejmująca nawet trudne tematy melodyjnym głosem, on serdeczny i ponury zarazem; bałem się do niego zbliżyć, by nie wpaść w otchłań jego mrocznego świata. Opowiedziałbym mu o Marie.

Córka kościelnego

Zimne, metaliczne powietrze neutralizuje tego ranka odór odpadków i ścieków. Nie słysząc zgiełku samochodów sunących wzdłuż drogi w Karakosz. Przed piekarnią, gdzie zwykle starszyzna przekazuje sobie w tajemnicy sekrety innych, panuje cisza; nie słysząc też gdakania kur, których smród przyprawiał mnie o mdłości. Kryształowe niebo pochłonęło krajobraz i wszystkie hałasy; w Khidirze⁴ pada śnieg.

Przytulony do murów na szczycie wzgórza klasztor Mar Behnam góruje z większą niż zazwyczaj śmiałością nad miasteczkiem, które poniżej, w dolinie, ginie w mlecznej mgle. Nie zawsze miał wygląd i pełnił funkcję fortecy. Dopiero jeden z architektów za czasów Saddama Husajna wzmocni konstrukcję betonowymi fortyfikacjami. Ojciec Marie zachował w pudełku po butach fotografie klasztoru pochodzące z czasów jego ojca. Pudełko zginęło podczas wojny, opowiadała, tej ostatniej czy jakiejś innej, w tym samym czasie, co buty tych, którzy stąpali po minach. Wyobrażam sobie, że ta kolekcja zdjęć musiała przypominać tabliczki odnalezione przez niemieckiego archeologa Conrada Preussera, pochodzące z okresu schyłku Imperium Osmańskiego, lub zbiór notatek i fotografii brytyjskiego dyplomaty Harry'ego Charlesa Luke'a⁵.

Odkryłem też fascynujące zdjęcia Gertrude Bell⁶, przyjaciółki słynnego Lawrence'a z Arabii⁷, która odegrała znaczącą rolę przy wytyczaniu granic Iraku przez Anglików na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku. Powinienem pokazać je Marie. Powinienem to wysłać do Marie. Mury były wówczas pobielone wapnem w kolorze migdałowym, wtapiały się w krajobraz niskich wzgórz ożywiających nieco Równinę Niniwy. W murach mauzoleum Behnama i Sary dostrzec można było podłużne cegły, kiedyś zapewne czerwone, dziś wytarte przez piasek i wiatr. Tego ranka beton osłaniający pełną prostoty czystość tego miejsca pokrywa śnieg, a klasztor znów jest prawie piękny.

Nie zważając na płatki śniegu oblepiające wełniany szal, kościelny zmierza ku wejściu do klasztoru – jest niedziela i zbliża się pora mszy. „Nie będzie zabawy w śnieżki, nie teraz”, upomina trzynaścioro swoich dzieci, wychodząc z domu. Twarz zakrywa mu kefija⁸ przewiązana czarnym sznurem; ubrany w plemienną białą diszdaszę⁹ ciągnie dzieci za sobą oblodzonym zboczem tellu. Ścisną rękę córeczki, której blond włosy splecione są w dwa warkoczki. To Marie, ma dwanaście lat i strasznie chciałaby uwolnić się z uścisku ojca i pobiegać po śniegu z braćmi, gdyby nie to, że niepokoi ją tłum, który widzi na drodze do Karakosz.

Jest 17 stycznia 1991 roku, trwa wojna. Nie wiem zresztą, czy jest sens podawać konkretną datę w przypadku tego rodzaju wspomnień. W Iraku wciąż toczy się wojna. Tylko od czasu do czasu jest rozejm, który bywa nawet straszniejszy niż walki z wrogiem. Każdego dnia tej zimy Marie widzi tysiące bomb

zrzucanych na jej kraj przez służby lotnicze wysłane przez Amerykanów w odwecie za inwazję na Kuwejt. Rankiem spotyka jedynie wchodzący do kościoła tłum ludzi o twarzach przeżartych strachem. Wierni z Karakosz przybyli modlić się za zmarłego lub żywego wcielonego do armii, a także za siebie samych, szczególnie odkąd zawisła nad nimi groźba użycia broni nuklearnej przez Amerykanów.

W pierwszym rzędzie siedzi wysoka kobieta, białe włosy ma upięte i osłonięte siateczką, właśnie dowiedziała się o śmierci swojego syna podczas ataku na schron przeciwlotniczy w Bagdadzie, w dzielnicy Amariyah. Amerykańskie siły powietrzne zbombardowały schron po otrzymaniu fałszywej informacji, że każdej nocy ukrywa się tam Saddam. Pierwsza bomba przebiła zbrojony beton sufitu; druga podniosła temperaturę wewnątrz do tysiąca stopni. Czterystu siedmiu cywilów, w tym syn kobiety z siateczką na włosach, stopiło się. Wielu wiernych podchodziło do niej uściskując dłonie i przekazując słowa otuchy. Jej ból obudził w nich zadawnione cierpienia; przypomnieli o mężu, synu czy bracie, którzy zginęli podczas ofensyw irańskich w latach osiemdziesiątych, myląc zwanych „Dawn”¹⁰. Irak to kraj zabójczych poranków.

Po mszy dzieci biegną na szczyt tellu, upojone mroźnym powietrzem i obietnicą zabawy. Część z nich zbija z kilku desek drewniane saneczki na kształt małych pudełek, które przepłynąwszy przez delikatną śnieżną pokrywę, rozsypią się na najbliższych kamieniach i wylądują w wyschniętych krzakach. Najbardziej nieustraszone oddają się dzikim zabawom na śniegu, przygotowującym o szybsze bicie serca. Ich wybuchy śmiechu

odbijają się echem po dolinie, która znów zbyt szybko okrywa się zielenią. W cieniu klasztoru niecierpliwe matki także zbyt szybko zwołują dzieci do domów. Marie bardzo chce jeszcze trochę zostać. „Nie zostanę na zimnie”, zapewnia. „Wejdę do kościoła i wrócę z tatusem”. Matka otoczona jej braćmi i siostrami oddała się i znika we mgle. „To chwila skradziona wojnie”, wyznaje mi, „tak samo nieoczekiwana jak śnieg w Iraku, to najpiękniejsze wspomnienie z dzieciństwa”.

Podczas gdy ojciec chowa naczynia liturgiczne, Marie spaceruje po kościele. Jej kroki wybrzmiewają w pustej nawie, przeskakuje z jednego kamiennego kafelka na drugi, parodiuje długie susy pawi spacerujących między osłonami na ściennych malowidłach. Czasem się zatrzymuje, żeby przyjrzeć się dokładniej szarozielonym mukarnasom, rzeźbionym w tynku ornamentom pokrywającym kopuły kaplic, metafizycznie wręcz geometrycznym, zanim zastygną, przypominając kształtem prawdziwe delikatne stalaktyty. Marie nie widziała nigdy przypominającego plaster miodu¹¹ sklepienia medresy w Bucharze ani niebiańskiego błękitu pałacu w Isfahanie, a prostota sklepienia w kaplicy Maryi Dziewicy nasuwa jej na myśl bramę niebios. Ojciec obiecał jej, że pewnego dnia pojedą do Mosulu zobaczyć Wielki Meczet al-Nuri ze słynnym pochylonym minaretem: kopuła górująca nad mihrabem jest bliźniaczo skonstruowana. Tymczasem w oczekiwaniu na to wszystko pora wracać do domu; dziewczynka bierze ojca za rękę, aby łatwiej było jej iść tyłem główną nawą w stronę wyjścia i nie patrzeć na wspinające się po ścianach smoki ani na gotowe do ataku lwy u zbiegu drzwi.

*

Oprowadzając mnie po kościele, Yohanna wskazuje na rozpruty kamień: oto drzwi, na których było to lwiątko, które tak przeraziło Marie. Skalne węże, marmurowe koty, rycerze zastygli z lancami skierowanymi przeciw demonom – wszystko zniszczone przy użyciu dłut i młotów przez żołnierzy Państwa Islamskiego. Nie było dnia podczas okupacji Khidiru, żeby Yohanna o tym nie myślał. Jak gdyby kamienny lew i wszystkie te fantastyczne bestie podzieliły los setek zaginionych mężczyzn i kobiet, których akta piętrzyły się na jego biurku i których musiał ocalić. Na jednej z teczek widniało nazwisko Marie.

*

Szczęśliwe dzieciństwo jest nudne, wie o tym każdy, kto tego doświadczył. Wspomnienia z takiego dzieciństwa nie splatają się w wątki powieściowe. Natomiast dziecięce lata Marie owszem. Bo tylko w jej ojczyźnie śnieg miesza się z czarnym deszczem z szybów naftowych podpalanych przez armię Saddama, a karaluchy biegają po domach, gdyż ogłoszono embargo na dostawy środków owadobójczych. Wiem, że w niewoli, gdy tylko udało jej się samotnie skulić w obskurnym kącie pokoju, Marie przywoływała, by zasnąć, wspomnienia kwaśnego zapachu wiciokrzewu, miękkiego miąższu purpurowych fig i niebieskich kwiatów ołownika tańczących w ogrodzie.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

